

TYGODNIK ZAKOPIAŃSKI.

Nr. 15. *Z dnia 4 października 1903 r.*



CZTERY DNI W TATRACH

(FRAGMENT Z WYCIECZKI)

NAPISAŁ BRONISŁAW ROMANISZYN.

(Dokończenie).

Późną nocą wyszliśmy nad jezioro. Łódź już czekała. Wsiedliśmy w nią i odbiliśmy od brzegu.

* * *

Jasna, cicha noc księżycowa. Na spotkanie ku nam biegnie od Tatr świeży wiaterek. Jasno wokoło; przy brzegach tylko okoliczne świerki i limby rzucają czarne cienie w wody.

Cicho, spokojnie pruje łódź tonie jeziora; fale przelewają się, pienią i pluszczą i układają się za nami w długą srebrzystą smugę. Im dalej oddalamy się od brzegu, tem więcej rośnie i staje się dłuższy, lśniący szlak za nami. Czarne cienie, jakie widzieliśmy przy brzegu, nikną, zdaje się uciekają w lasy.

Jasno, cicho... tylko słyszę szmer i szum lasu, tylko słyszę plusk rozkołysanej fali, tylko wiosła miarowo uderzają i zapadają w wodę. I głosy te dziwnie melodyjne, łagodne, miękkie, uspakajające zlewają się w jeden szmer, czy szept tajemniczy. Przystanęliśmy na środku jeziora.

Jezioro odpoczywało, spowite w ciemne zasłony lasów, niby w objęciach rozkosznych złożone.

Jaka cisza!... tylko czasem, czasem plusnęła leciuchno fala i po głębiach jeziora przebiegła miękka zmarszczka, niby drżenie radosne upojonej rozkoszą istoty. Od Tatr zawiał na chwilę silniejszy wiaterek. Na powierzchni jeziora układają się długie, srebrzyste smugi. Nowy oddech wiatru. Widać już ich coraz więcej; biegną jedna za drugą, łamią się, to nikną w tej gonitwie, to znów ukazują się i biegną jakby w pogoni za wiatrem, który śmiał zakłócić spokój sennych fal. Wiatr tymczasem już przebiegł jezioro, zaszumiał w nadbrzeżnej kosodrzewinie i spadł na dalekie niziny Węgier.

I znowu cisza, bo człowiek zachwycony patrzy, nie dzieląc się wrażeniem z towarzyszami.

* * *

Nagle doleciały nas przytłumione dźwięki muzyki. Płynęła jakaś smętna pieśń grana na skrzypcach przy akompaniamencie zdaje się cymbałów. To „lassan“ wykrzyknął nasz przewoźnik, a oczy zabłysły mu jakimś namiętnym blaskiem.

Przypłynęliśmy bliżej brzegu i słuchaliśmy. Melodja rwała się z głębi serca, które zapalało się ogniem namiętności, paląc swym żarem skrzypka i słuchaczów. Echo niosło tę pieśń daleko — daleko... Na skrzydłach lekkiego tchnienia wiatru, podlatywała ona do drzewa każdego, do krzewu, kosodrzewiny, do trawki każdej, przelewała swe palące tony w chłodne fale jeziora, drżały bowiem od jej dotknięcia.

Żałosny nastrój tej cichej pieśni, szybko wszystkich ogarnął. I płynął ponad jezioro,

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 4 Października 1903 r.

ponad nas, drzewa, lasy, równiny, chór jęków, chór ciężkich, bolesnych skarg.

* * *

Otrząsneliśmy się z wrażenia. Czas spać. Przybiliśmy do brzegu. Tu nas oczekiwał Maciej i zaprowadził na miejsce naszego noclegu. Na ziemi, na materacach, (ja na obszernym bilardzie), ułożyliśmy się, jak komu wygodniej do snu.

* * *

Budzimy się o świcie. Zaczyna się gorączkowe krzątanie po obszernej, jak poznaliśmy rano, czytelni restauracyjnej. Schodzimy się na werandzie pośpiesznie pijemy kawę i o 5-tej jesteśmy już gotowi do drogi.

Pogoda była cudowna, ani jednej chmurki na niebie.

Spiesznie idziemy zrazu świetną, leśną ścieżką, jakby w jakimś parku poprowadzoną. Okrążamy zachodni brzeg jeziora i zapadamy w ciemne lasy, ciągnące się hen, ku Krywaniowi.

Po godzinnym marszu wydostaliśmy się na wyrąbanisko i wśród ogromnych traw, dochodzących pasa posuwamy się naprzód.

Znowu las!

Oglądamy świeży trop dzików. Musiało to być ogromne stado, gdyż dalej zobaczyliśmy na przestrzeni conajmniej kilkuset metrów kwadratowych, okropnie porytą i starganą ziemię.

Wchodzimy wśród ogromne łany kosodrzewiny. Jak okiem sięgnąć, widać nieprzebrane cienie gęstwiny, istny matecznik dlatego, ktoby się odważył puścić w to morze skarłowaciałych krzewów.

Coś nagle załopotało w pobliskiej kosówce. Nim zdołałem się opamiętać, zerwał się o kilka kroków odemnie, wspaniały głuszec. Wkrótce zapadł gdzieś w środku olbrzymich łanów kosówki. Tam on zupełnie już bezpieczny...

Trzy godziny upłynęło już, odkąd opuściliśmy brzegi Szczyrbskiego jeziora i dopiero teraz zaczynamy wchodzić na pierwsze zbocza Krywania. Powoli niknie i kosodrzewina; zato coraz więcej mamy rumowiska i zwałów granitu. Lawirując niestrudzenie wśród nich, natrafiamy na dawną drogę do „bań“ złota i nią posuwamy się naprzód. Stanąwszy wkrótce na dość wyniosłym grzbiecie, urządzamy mały popas.

Mieliśmy stąd dziwnie malowniczy widok w stronę Węgier. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów mieliśmy przed sobą najbardziej czysty obraz lasów, wzgórz, wąwozów i dolin, a hen dalej nieprzebranych równin węgierskich, jasnemi wstęgami rysujących się dróg i plamami rozrzuconych tu i owdzie wsi i miasteczek. Dalsze miejscowości ginęły pod gęstym okryciem obłoków, które ścieląc się, niby morze, na powierzchni ziemi, zasłaniały nam ostatnie wzgórza Spiżu i Liptowa.

Od wschodu wynurzał się główny grzbiet Tatr, świecąc się w blasku słonecznym, płatami wiecznego śniegu i stanowiąc ramy rozległego na dziesiątki mil widnokręgu.

Na tej ogromnej przestrzeni, którą wzrok obejmował, tyle było barw i ich odcieni, a wszystkie takie miękkie, łagodne i ciepłe, lecz tak dalekie, dalekie... Tylko lody i śniegi szczytów wysokich iskrzyły się wyraźnie blaskiem zimnym, stalowym.

Nad dolinami cisza... Gdzieś ku Popradowi sunie pociąg kolei żelaznej i znaczy swój ślad długą smugą dymu.

I gdym patrzał na to wszystko, zdawało mi się, że unosiłem się w jakieś nadziemskie krainy i stamtąd roztacza się przedemną widok, powierzchni planety, obraz lądów zasłoniętych w krańcach temi obłokami, które się zbitą masą gdzieś daleko toczyły po niskiej ziemi.

* * *

Ale czas nam w droge.

Mijamy tak zwane „banie“ złota, gdzie przed laty wydobywano ten cenny kruszec. Kopalnie się nie rentowały, więc je zarzucono, „banie“ zawalono.

Skończyła się ścieżka i odtąd drapiemy się po ogromnych głazach i piargach wprost w górę ku najbliższej przełęczy w grani Krywania. Sam szczyt Krywania piętrzy się przed nami niebywale imponująco.

Po dwugodzinnem mozolnem lawirowaniu wśród głazów i skał, po przejściu istnego morza kamieni, stanęliśmy wreszcie na przełęczy, na Grani nad doliną ważecką.

Mamy stąd piękny, ale strasznie dziki i groźny widok ku dolinie Ważeckiej i ku poszarpanym turniom Ostrej i Soliska. Pod naszymi stopami, w przepaści, dyszy Zielony staw w dolinie Ważeckiej.

Stąd już do szczytu Krywania niedaleko. Zbaczamy na lewo i to po graniach, to po uciążliwych usypiskach skalnych, wchodzimy na szczyt.

Szczyt Krywania liczy 2496 m. n. p. m. — i piętrzy się od doliny Niewcyrki ścianą, tworzącą straszną przepaść.

Mieliśmy stąd wspaniały i niezwykle rozmaity widok. Miałem wrażenie, że na tym potrzaskanym cyplu skały byłem na granicy życia i śmierci. Od północy i wschodu otaczało nas morze skał — z pośród którego wychylały się dzikie, potworne wieżyska Hrubego, Furkota Baszty, Szatana, Ostrej i Soliska. Dalej ciągnęły się dalsze pasma Wielkich Tatr. Wprost przed nami wzrok opierał się o lśniącego olbrzyma, świetnie panującego nad innymi szczytami: był to Garluch, król Tatr. Lodowy ginął w chmurach, które o północy zajęły koło horyzontu.

I stały przed nami te „potopu świata fale, zatrzymane w swoim biegu“, zimne, dumne, wyzywające.

Od wschodu było już przejście do krainy życia. Tam tylko małą przestrzeń zajmował grzbiet wysuniętego Sławkowskiego szczytu, a wzrok nie napotykał żadnej przeszkody i nurzał się w wielkiem morzu zieleni. Na południe życie kwitło w całej pełni. Wyżyna szybko się zniżała i ginęła w dolinach i równinach przykrytych ciemnymi ko-

biercami lasów. Tam się wiły błyszczące wstęgi rzek i jasne linje dróg — tam stały grupy chat, tam kilkadziesiąt wiosek i miasteczek z wieżami i białemi ich ścianami — nęciło ku sobie zmęczony grozą i pustką wzrok turystów.

Nigdy nie miałem sposobności objąć jednym rzutem oka tak wielkiego obszaru kraju zamieszkanego. To też opanowało nas potężne wrażenie, a kontrakt wiekowej tragedji pustkowia, jaki za najmniejszem zboczeniem linji widzenia napotykaliśmy, bynajmniej to nie pomniejszał.

Nasyciwszy się sielankowym powiewem płynącym od pól i siedlisk ludzkich, zacząłem się rozglądać po bliższem otoczeniu. Na pierwszym planie piętrzył się trzon potężnego, niemożliwie potężnego Hrubego. Nie wiem, czy który szczyt w Tatrach jest tak trafnie nazwany. Patrząc na tego olbrzyma mimowoli stawia sobie człowiek pytania, jak ziemia zdoła udźwignąć na sobie tak kolosalne zwały skał. Od Hrubego począwszy ciągnie się cały łańcuch okropnie dzikich i potarganych turni z Furkotem, Soleskiem, Szczyrbskim, Basztą zadnią, Przednią i Szatanem na czele.

Taka groza, taka okropna pustka wieje z tych poszarpanych grzbietów i turni, gdzieniegdzie ubielonych płatami śniegu, że mimowoli odwraca się od nich wzrok i biegnie odpocząć na znanych dalekich szczytach Koziego Wierchu, Świnnicy, Gewontu i rozległego Czerwonego Wierchu.

Pod nami okropna przepaść w dolinę Niewcyrki, w którą zaglądamy nie bez wrażenia.

Gdzieś w dali, w lasach pokazuje nam przewodnik leśniczówkę na „Podbańskiej“, gdzie mamy tej nocy przenocować.

Z żalem opuszczaliśmy ten wyniosły szczyt. Zostawiliśmy swoje bilety, pożegnaliśmy wzrokiem wszystkie szczyty i ciemne doliny i pospieszyliśmy za przewodnikiem, który naglił do powrotu zpowodu i spóźnionej pory i niepewnej pogody. Schodziliśmy już inną drogą, bo północnym grzbietem Krywania. Wkrótce natrafiamy na ścieżkę i nią posuwamy się naprzód.

Wkrótce stanęliśmy na ostatniem zboczu Krywania. Odtąd droga serpentyną wije się wśród olbrzymich łanów kosodrzewin, wśród kwiecistych łąk i polan, a wreszcie zapada w czarne bory. Przed nami słońce krwawo zachodziło za chmury, złocąc tu i owdzie jeszcze szczyty Tatr. Dalsze szczyty ginęły w jakiejś czarności złowrogiej zapowiadającej grad czy deszcz ulewny. Pod nami otwierała się długa, obszerna dolina, obwinięta w czarny całun nieprzebranych borów, które mieliśmy przejść, by się dostać do leśniczówki na nocleg.

Śpiesznie schodzimy, a nieraz biegniemy jakby w parku poprowadzonej, po wygodnej ścieżce. Mijamy łąki i polany okryte nadzwyczaj bujną podzwrotnikową prawie roślinnością, i wśród kwiatów i traw, w których się prawie po biodra zanurzaliśmy, spieszymy ku pobliskim lasom.

Jakże się zmienił charakter miejsca gdy weszliśmy w nie — urok wesołych, żywych łąk i hal odrazu przepadł w pamięci. Jak ciemno, jak ponuro; istny obraz starości, zniszczenia i życia na trupach bratnich. Ogromne pnie wznoszą się tu z gruntu usianego głazami, pokrytego mchem i zgniłymi liśćmi — a na tej martwej, zwiędłej pościeli co krok leżą spróchniałe, zgniłe, spleśniałe olbrzymy drzew podciętych kosą starości lub powalonych wichrami szalonymi. Nad tem drzewa — jak w zadumie wiekowej, surowe, niedostępne, niezbadane. A wszystko ci nie rade, że przerywasz krokami głuchymi odwieczne milczenie, sen i grobową zadumę.

W jednem miejscu stąpa się po grubym elastycznym pokładzie mchu, jakby po materacach, w innem noga tonie w błocie rozmokłem od tysiąca źródełek bijących z pod kamieni, lub zapada w szczeliny wśród głazów, pokryte zdradziecko mchem, lub zgniłem liściem.

Gdyby las ten posiadał liany, to przedstawiałby doskonały obraz lasu dziewiczego wyrosłego na jakimś bagnistym gruncie. Bez nich jest puszczą północną, przez którą, jak na obrazie Grottgera, duch śmierci ulata.

Las, przez któryśmy przechodzili jest tak dziki, tak smutny, tak niemile działa na wyobraźnię — i tak ją pognębia, że chciałoby się „nie być“ przynajmniej w tym lesie.

Maciej pokazuje nam świeży ślad niedźwiedzia. Tak ten las godny takiego mieszkańca. Ktoś natarczywie się dopytuje, czy nas ten król tych borów gdzie nie spotka.

Im więcej się posuwamy w głąb, tem więcej ciemno, tem większe wrażenie nas ogarnia. Daremnie bym się silił na dokładne odmalowanie wrażenia jakie nas ogarnęło, zamilkliśmy wszyscy. Ktoś zaczyna na chwilę narzekać i niecierpliwić. Tymczasem lasy ciągną się bez końca — bez końca.

...Coraz nam smutniej, beznadziejniej samym w tej dziczy. Wydaje się mi, że wkrótce duchy leśne na narady się zejdą. Co będziemy robili żywi pośród nich.

Noc już zapadła. W lesie nastały straszne ciemności. Szliśmy w milczeniu, bo byliśmy przygnębieni tą grozą tego najdzikszego, jaki kiedykolwiek widziałem lasu, a to nie usposabia do rozmowy. Zresztą ciemność nocy uniemożliwiła naszą gawędę, która będąc przeważnie poglądową, wymagała współdziałania zmysłu wzroku.

Na jednej polanie ujrzeliśmy niespodzianie pod skałą rozpalone ognisko, przy którym leżało kilkoro ludzi. To chłopi z pobliskich wsi zbierali tu i suszyli siano. Przypomniały mi się koczowiska dawnych ludzi wśród lasów żyjących.

* *
*

Znowu ciemności, jeszcze gęstsze, po świetle.

„Podbańska musi juz nie prec“ — rzekł nagle Maciej, a po chwili zawył głosem donośnym, ogromnie przejmującym. Echo rozniosło po lasach, przerzucając z drzewa na drzewo ten dźwięk ostry, tak rażący w ciszy nocnej, taki niespodziewany, jakiś nienaturalny — a odpowiedziała mu szczę-

kanie zajadłe psów. Tego chciał Maciej. To psy z „Podbańskiej“ dają nam możność orjentowania się co do kierunku w jakim iść należy.

Wkrótce też wyszliśmy na polanę, a na niej zobaczyliśmy ogrodzenia i zabudowania leśniczówki na „Podbańskiej“.

* * *

Skromna ta leśniczówka, wydała się nam jakby rajem. Zgłodniali, a więcej jeszcze spragnieni, rzuciliśmy się do mleka, którego ogromną ilość wypiliśmy. Po kolacji poszliśmy natychmiast spać do stodoły na siano.

* * *

Mimo zmęczenia nie mogłem usnąć. Zbyt wielka ilość wrażeń z tego dnia cisnęła się do głowy... Wyglądnąłem na dwór. W górze las śpiewał swą cichą senną pieśń nocną. Obok słyszałem ciężki oddech przewodnika, który już spał jak zabity. Od czasu do czasu, psy zrywały się i szczekając biegły do lasu, czując tam dzikiego zwierza. W sąsiednim budynku ktoś śpiewał cichym głosem jakąś pieśń...

I znów myślałem o ogromnej samotności, którą jeszcze bardziej spotęgował widok ludzi mieszkających i rozsianych na tej wielkiej przestrzeni lasów.

* * *

Obudziłem się o świcie. Między szparami dachu przeświecało blade, zimne niebo wczesnego poranku.

Wyglądnąłem na dwór. W leśniczówce zaczynało się już życie. Pustuchy wypędzały bydło; z komina snuły się w górę cienkie, niebieskie smugi dymu. I te czarne zabudowania i te pstre ubrania ludzi, migające na zielonem tle lasów, i te ginące w gęstwinie stada bydła, ten ruch i krzątanie się, wszystko dawało malowniczy obraz budzącego się życia, jakby w jakiemś pierwotnem siedlisku ludzkiem.

Widok taki unosi myśl ku dawnym dziejom, ku zamierzchłej przeszłości, która się wielokrotnie usiłuje odtworzyć w wyobraźni i wydaje się świetną tej wszelkiej historji dziejów ludzkości illustracją.

* * *

Wypiliśmy śniadanie i pospieszyliśmy naprzód. Minęliśmy potok, lasy i weszliśmy w ujście doliny Kamienistej.

Był chłodny, ponury górski poranek. Nad nami płynęły popielate lub białe chmury. Płynęły one ku grzbietom skalnym, ruchem poważnym, jednostajnym i przewijały się przez nie na drugą stronę. Niekiedy zaś pełzały i czepiały się ścian turni i rozdzierały się o ich wierzchołki. Błękit nieba, blask słońca, zasłonięte chmurami. Giną w nich dalekie śnieżne szczyty, tak pięknie iskrzące się w dzień słoneczny. W chmury odziane są nawet stoki leśne. Tulą one w swych objęciach coraz więcej ostre zarysy skał, tak dumnie sterczących na tle przestworzy błękitnych...

Niekiedy wicher się zerwie.

Hen! na Krywaniu porozpędza chmury na chwilę, rozgoni na wszystkie strony. Gdzieś głęboko pokaże się skrawek błękitu i promieni snop się przedrze. Trochę znowu świata wówczas widać, a kłęby białe, które wicher zbija i po górach toczy, jeszcze cięższe się wydają.

Znowu silniejszy podmuch wiatru. Chmury w prądzie jego się wydłużyły, zaczęły biedz jak szalone, skłębiły się z sobą i rozbiły na jednostajną mgłę, która wszystko dookoła zaciemniła, lecz wkrótce z wiatrem dalej na wschód popłynęła. I szczyty wyłoniły się jakby za podniesieniem kurtyny.

I nastało panowanie słońca; topnieją strzępy oparów, wicher ustaje, schnie ziemia, natura przywdziewa swą zalotną szatą. I uśmiecha się natura odświeżona, tryumfująca a człowiek biegnie do niej.

* * *

Idziemy w górę śliczną doliną Kamienistą. Ścieżka wije się wciągle nad brzegiem potoku. Przeczyta jego woda to płynie spokojnie na miejscach równiejszych i głębszych, to tworzy małe wodospady ogłuszające swym szumem, lub uderza o skaliste zapory i przeskakuje przez nie, rozbijając się w białe wstęgi i krople.

Ścieżka w jednem miejscu przechodziła potok na drugą stronę, ale kładki nie było. Staliśmy dość długo nad potokiem; piękny, wspaniały, to prawda — ale jak go przebyć. Brzegi daleko, pomiędzy glazami zawalającemi łożysko, zbyt wielkie przerwy; przeskoczyć z jednego na drugi ani sposób. Jest most — zawołał ktoś. Był to drążek świerkowy, grubości kilku cali, przyparty przez pęd wody do dwóch wystających kamieni.

Woda wrzała i kłębiła się jak w kotle. Wszedłem pierwszy na tę kładkę, lecz ani myśleć nie było można o utrzymaniu równowagi bez podpory; kije zaś nasze pokazały się zbyt krótkimi. Wyszukałem więc długą gałąź świerkową, i wbijając ją między kamienie na dnie wody, wolno posuwałem się naprzód. W ten sposób z zachowaniem wszelkich ostrożności, przeszła przeważna część towarzystwa.

Tylko P. W. lekceważył sobie to przejście; pewną nogą wstąpił na oślizły drążek i właśnie wskutek tej pewności wpadł niemiłosiernie w wodę. Tak zwykle bywa temu kto „przepłynąwszy morze, lekceważy wody Dunajca“. Mokra to była nauka, ale dobra.

Wkrótce potem staliśmy na przełęczy między Kamienistą, a szczytem Bystrej nad doliną Kościeliską...

KORESPONDENCYA.

Zakopane, 30 września.

Sen czy jawa?

Śniło mi się, że powziąłem zuchwały zamiar pójść na Rysy, ja, który od miesiąca wybieram się na Kozieniec i nie mogę się zdobyć na tę ekstrawagancję. Od czasu, kiedy reumatyzm powykręcał fantastycznie moje długie nogi nie mogę pozwalać sobie na jawie na wycieczki w Tatry, więc chociaż we śnie, chcę sobie powetować straty, jakie przez moje niedołęstwo ponoszę.

A więc śniło mi się, że wybrałem się na Rysy. Wziąłem naturalnie przewodnika. Przyjechaliśmy na noc do Morskiego Oka. Chciałem iść do Schroniska Tow. Tatrzańskiego, ażeby się przyzwoicie przespać i skoro świt iść w góry. Góral nie chciał mnie puścić do schroniska i tylko gwałtem ciągnął mnie do Burego.

— Człowieku — błagam go ze łzami w oczach, ja chcę się wygodnie wyspać, przytem jestem członkiem Towarzystwa Tatrzańskiego, tam taniej będzie mnie kosztował nocleg i czuję się w obowiązku popierać to Towarzystwo, a nie konkurenta Burego, który bezprawnie się nad Morskiem Okiem roztasował.

Przewodnik nie chciał mi wyłuszczać przyczyn, które odpychają go od Schroniska, napomknął tylko dyskretnie, że wszyscy na wycieczce są obowiązani słuchać przewodnika.

Bojąc mu się narazić, nic już nie odrzekłem tylko poszedłem do owego Szarego czy Burego. Spałem w łóżku długości półtora metra, w którem najmłodszy z moich siedmiu synów napewno nie mieściłby się wygodnie (ja mam 3 metry z górą i reumatyzm w lewej nodze).

Fantastycznie poskręcany nie mogłem w żaden sposób zasnąć, tembardziej, że do ucha wlazł mi karaluch, którego nie mogłem długi czas wydostać, a koło mnie położyła się duża mysz, której nawet nie śmiałem zrzucić, bojąc się, abym się nie wyprowadził z pozycji w której się z trudnością w dziecinnem łóżeczku ułożyłem.

Przyjemny górski wiaterek przez szczelinę w ścianie wydymał mi kołdrę i chciał ją zerwać ze mnie, ale trzymałem ją dobrze, tymczasem biedna myszka widać z zimna niemiłosiernie piszczała.

W drugiej izbie obok siedzieli przewodnicy. Wszedł do nich Bury i zaczął im dawać drobną monetę.

— Ty masz jednego gościa, daję ci za przyprowadzenie 20 centów i flaszkę piwa. Ty masz pięciu, więc daję ci reńskiego i pięć flaszek piwa itd.

Teraz dopiero zrozumiałem dlaczego mój przewodnik ciągnął mnie do Burego, i dziękowałem Bogu, żem ze sobą nie wziął siedmiu synów i żony, byłoby nas 9 osób, przewodnik wypiłby 9 butelek piwa, i kto wie czybyśmy gdzie nie pospadali z Rysów.

Na drugi dzień doszedłem do Czarnego Stawu, a dalej siły odmówiły mi posłuszeństwa, tak byłem umęczony nocą.

Ten sen opowiadałem w towarzystwie.

— Ten sen jest niesłychanie prawdopodobny — zauważył ktoś.

— A, tak bywa, bywa... — dodał drugi.

A tymczasem w Zakopanem pogoda, śliczna pogoda.

Obecny czas możnaby nazwać sezonem milusińskich; dzieci jest teraz dużo w Zakopanem, wszędzie ich pełno. Czy nie wartoby teraz urządzić dla nich jakiegoś festynu?

I w takim czasie, kiedy Zakopane roztacza najwięcej swych czarów, muszę opuszczać ten uroczy zakątek. Szkoda.

KRONIKA.

Automobil skręcający z ulicy Chałubińskiego, ku Jaszczurówce, swym niespodziewanym zjawieniem się, przestraszył konia, zaprzągniętego z naładowaną meblami furkę. Koń poniósł w las, gubiąc po drodze meble i pasażerów. Wypadków z ludźmi nie bylo, ale wózek poszedł w kawałki.

Orkiestra góralska tej zimy wybiera się w podróż artystyczną po Królestwie Polskiem. Jeżeli nie wrażenia artystyczne, to pewno narodowe stroje ściągną czułych na to królewiaków na te koncerta.

Odsłonięcie nowego ołtarza w parafialnym kościele odbyło się zeszłej niedzieli. Po uroczystej mszy św. ks. kanonik Sobierajski poświęcił bardzo piękny, artystycznie we wgłębieniu malowany ołtarz.

Szkoda że pan Krzysztofowicz zwinął już swoje schronisko przy Morskiem Oku. Wobec pięknej pogody, dziesiątki furek i powozów zdąża tam co dzień. Goście z konieczności muszą popierać Burego, bezprawnie tam zamieszkałego.

Sprzedaż Poronina hr. Hohenlohemu byłaby także bardzo niekorzystną rzeczą dla turystów polskich. Na wszystkie nasze szczyty Hohenlohe zabrania przechodzić przez swoje posiadłości, jako to na Mnicha, Ganek, Młynarza i inne. Jeżeli ten magnat nam wrogi rozgości się tuż przy Zakopanem, zapewne i na to terytorjum rozszerzy niczem nieuzasadniony zakaz przechodzenia przez jego posiadłości.

Zamknięcie biura Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem. Z dniem 1-go października biuro Towarz. Tatrzańskiego, zostało przeniesione z Zakopanego do Krakowa. Przez 3 miesiące sezonowe w nowym dworcu tatrzańskim od 9-ej rano do 7-mej wieczorem była otwartą Czytelnia zaopatrzoną we wszystkie poczytniejsze pisma ku użytkowi członków. Nowych członków zapisało się w tym roku 49. Ruch był wprawdzie mniejszy, niż zeszłego roku w Towarzystwie, zapewne ze ze względu, że Nowy Dworzec jest nie na tak widocznem miejscu, jak dawny. Od 9-tej do 12-ej przed południem i od 4 do 5 po południu była otwarta kancelarja Towarzystwa sekcji turystycznej. Członkowie mogli również korzystać z biblioteki aczkolwiek nielicznej, bo tylko po pożarze 400 tomów liczącej, ale szczególniej dla królewiaka budzącej interes, bo zaopatrzonej w rzeczy zakazane w zaborze rosyjskim.

Sekcja turystyczna' urządzała w tym sezonie wycieczki zbiorowe dla członków, które cieszyły się dużym udziałem.

Przez sezon bawił w Zakopanem w celach Towarzystwa I wice-prezes tegoż dr. Ponikło i dyr. Barabasz.

W tym roku dzięki zapobiegliwości Towarzystwa powstało kilka nowych dróg w Tatrach, oraz zaczęto robić ścieżkę do Czarnego Stawu od Morskiego Oka, ale niestety, Starostwo zabroniło kończyć zaczętej drogi, motywując zakaz tem, że jeszcze faktyczne rozgraniczenie, nie nastąpiło. Na trzeci dzień cofnięto ten nieuzasadniony zakaz. Jednak ludzi wysłanych ku rozpoczęciu na nowo roboty żandarmi przy Morskiem Oku zatrzymali i grozili aresztowaniem.

Takie i tem podobne przeszkody musi Towarzystwo Tatrzańskie z różnych stron zwalczać. Wielu ludzi złej woli w dziennikach stara się szkodzić temu pożytecznemu i ze wszech miar na sympatję zasługującemu Towarzystwu.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Czy wolno zapytać, na czem opierasz książę przekonanie swoje?

— Mówimy w zaufaniu, wszak prawda? Przed paru laty niedorzeczny mój synowiec pozostawał w bliższych stosunkach zażyłości z jedną z gwiazd sceny berlińskiej. O ile słyszałem, ta dama miała być wzorem cnót niewieścich, ale łączenie jej nazwiska z nazwiskiem panującego księcia musiało wywołać skandal. Myślałem, że ta sprawa załatwioną została z chwilą ogłoszenia w pismach o zaręczynach mego synowca z księżniczką Anną von Eckstein Schwarzburg, onegdaj wszelako widziałem wspomnianą damę w alei ogrodowej. Jej ukazanie się tutaj jednocześnie z nagłem zniknięciem mego synowca jest zbiegiem okoliczności, dającym dużo do myślenia.

— Ale jakąż łączność fakt ten mieć może z morderstwem Reginalda Dimmocka?

— Niema z nim żadnej łączności. Sądzę, że zniknięcie Eugenjusza i morderstwo biednego Dimmocka są wypadkami, nie pozostającymi z sobą w związku... chyba, gdyby aktorka berlińska była narzędziem w ręku morderców. Nad tem nie zastanawiałem się jeszcze.

— Co zatem książę czynić zamierzasz dziś w nocy?

— Zamierzam przekonać się, czy dom, do którego weszła wczoraj panna Racksole, nie ukrywa jakiej tajemnicy miłosnej.

— Zgoda — rzekł Racksole. — Cieszyć się będę, jeśli te poszukiwania nie okażą się bezowocne, wybacz jednak książę szczerość moją i pozwól sobie powiedzieć, że błędne są pańskie przypuszczenia Gotówbym założyć się o sto tysięcy dolarów, że książę Eugenjusz został porwany.

— Ja z kolei zapytam, na czem pan opierasz ten wniosek?

— Oh! to długa historja — odpowiedział Racksole. — Czy pan wiesz, że twój synowiec, książę Eugenjusz zadłużył się na miljon funtów szterlingów?

— Miljon funtów! — zawołał Aribert. — To niepodobna!

— A jednak fakt nie ulega wątpliwości — odparł ze spokojem Racksole i opowiedział wszystko, co słyszał od Samsona Levi. — Co książę na to powiesz? — zagadnął w końcu.

— Powiem tylko, że jeśli Eugenjusz żyje, jest zrujnowany doszczętnie.

— Tak źle nie będzie — zapewniał Amerykanin życzliwie. — Rozpatrzymy stan interesów później. Teraz przedewszystkiem muszę wiedzieć, czy poprzednio starał się kto o rękę księżniczki Anny?

— Przeszłego roku starał się o nią książę Bośni, ale mu odmówiono.

— Dlaczego?

— Bo mój synowiec uważany był za lepszą partję.

— Nie stawiano zarzutów co do charakteru księcia Bośni?

— Nie; w związkach małżeńskich domów panujących, kwestja charakteru łączących się osób małą, na nieszczęście, odgrywa rolę.

— Gdyby zatem dla jakich powodów małżeństwo synowca pana z księżniczką Anną zostało zerwane, książę Bośni miałby znowu szanse powodzenia?

— Niewątpliwie. Względy polityki nie stawałyby w takim razie na przeszkodzie.

— Dobrze! — zawołał Racksole — teraz założyłbym się o drugie sto tysięcy dolarów, że któryś z poddanych księcia Bośni, jeśli nie sam książę, jest sprężyną całej intrygi. Politycy bałkańscy metodą działania, przypominają zawsze polityków Wschodu. Chodźmy zatem.

— Gdzie?

— Do zagadkowego domu, w którym Nella doznała tyle niezwykłych przygód.

— Jeszcze za wcześnie oponował Aribert.

— Nie przeczę — przyznał Racksole — ale będziemy potrzebowali zaopatrzyć się w różne przedmioty, przedewszystkiem w ślepą latarkę. Pójdę poszukać takiej latarki.

— Nie zapomnij pan o rewolwerze — wtrącił książę.

— Chcesz pan powiedzieć o rewolwerach — poprawił miljoner z uśmiechem.

— Mogą nam być potrzebne.

— Oto jeden — rzekł Racksole, wyciągając rewolwer z bocznej kieszeni surduta — a książę?

— Ja — odparł Aribert — mam broń pańskiej córki.

— Skąd u dyabła wzięła się u niego?... — mówił w duchu Amerykanin.

Było wpół do dziesiątej. Uznali, że przedwcześnie rozpoczynać poszukiwania przed dwunastą. Mieli trzy godziny czasu przed sobą.

— Chodźmy do sali gry — zaproponował Racksole — spotkamy tam może damę z Berlina.

Propozycję, zrazu na żart zrobioną, obaj panowie przyjęli chętnie, uznając, że pozostałe chwile najprzyjemniej spędzą w wytwornych salonach Kursalu, w których o tej porze roku ludzie, szukający silnych wrażeń, wygrywają lub przegrywają nie mniejsze, jak w Monte Carlo sumy.

Dziesiąta biła na zegarze, gdy wchodzili do wspaniałych, rzęsiście iluminowanych apartamentów. Zastali tam liczne zgromadzenie; między innymi niejedną z wybitnych osobistości europejskich. W tem różnorodnem zebraniu zacierały się różnice indywidualności i charakterów. Płomienie chłodnego elektrycznego światła oświecały zarówno sprawiedliwego i bezbożnika, szaleńca i oszusta, Europejczyka i Azyatę. Jak zwykle, kobiety zmonopolizowały przy ruletach miejsca najlepsze. Widok taki nie był obcym dla księcia Ariberta, znającego dokładnie urządzenie domu gry w Monaco, stanowił jednak zupełną nowość dla Racksola, który po raz pierwszy wchodził do pałacowych europejskich szulerni. Zrazu gra hazardowa zbudziła jego zajęcie. Z oczyma utkwionemi w ruletę, słuchając pilnie uwag grającej publiczności i krupiera, Amerykanin przypatrywał się, niby widz występującym na scenie aktorom. Widział gołowąsego młodzieńca, wygrywającego piętnaście tysięcy franków, skradzionych mu bezzwłocznie przez dziewczynę, niewiele od chłopca starszą; widział dwóch wytrawnych szulerów, przegrywających stawkę i odchodzących obojętnie na pozór od stołu; widział krupiera, za jedną rozgrywką zgarniającego pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Ładna zabawka — rzekł w końcu miljoner — stawki jednak za małe, aby wywoływać mogły silniejsze podniecenie. Sprobuję szczęścia; jestem pewny wygranej.

— Dlaczego? — pytał Aribert.

— Bo hazard sprzyja mi zawsze — odparł wesoło Racksole. — Taki już mój los. Pamiętaj, książę, te słowa: dzisiejszej nocy zwyciężyć muszę.

Po dziesięciu minutach krupier rulety, na której stawiał Amerykanin, zmuszony był wstrzymać grę, oczekując nowego forszusu dla zastąpienia przegranych pieniędzy.

— Czyż nie miałem racji? — mówił Racksole, przechodząc z księciem do dalszych salonów. Goniły za nim setki ciekawwych wejrzeń. Stara kobieta, której jaskrawe ubranie zdradzało pretensję do młodości, prosiła miljonera, aby postawił na jej rachunek podane mu pięć franków. Racksole wziął monetę i po chwili oddał w zamian właścicielce banknot stufrankowy. Ona chwyciła papier i z gorączkowym pośpiechem wróciła najmowane przy rulecie miejsce.

Przy drugim stole panowało wielkie ożywienie. Przodujące miejsce między graczami zajmowała kobieta w czarnej jedwabnej, wygorsowanej sukni i czerwonym a la Rembrand kapeluszu na głowie. W wieku około dwudziestu ośmiu lat, miała czarne oczy, pełne usta i wydatny semicki nos. Była piękną, tą pięknością o złowrogiem piętnie, przypominającem mitologiczną Junonę. Wszyscy zwracali na nią uwagę, opowiadając o wyjątkowo sprzyjającem jej szczęściu, czego dowodem, że w ciągu godzin kilku wygrała sto sześćdziesiąt tysięcy franków.

— Odgadłeś pan trafnie — szepną Aribert do ucha miljonerowi — to dama z Berlina.

— Niech ją licho bierze. Czy dojrzała księcia i mogłaby poznać pana?

— Prawdopodobnie zna mnie, ale nie patrzyła jeszcze w naszą stronę.

— Stój książę za nią. Postaram się dostarczyć jej trochę zajęcia.

Racksole ze zręcznością dyyplomaty wykonywując plan swój, zasiadł naprzeciw damy w czerwonym kapeluszu. Rozgłos jego powodzenia przy rulecie w poprzednim salonie doszedł już tutaj; ludzie spoglądali na niego jako na wybrańca ślepej fortuny. Przy pierwszej rozgrywce dama postawiła tysiąc franków na dwa zera; Racksole stawił sto franków na numer dziewiętnaście i tysiąc franków na numera nieparzyste. Wygrał numer dziewiętnasty. Amerykaninowi wypłacono cztery tysiące czterysta franków. Dziewięć razy z rzędu miljoner stawiał na numer dziewiętnaście i numera nieparzyste; dziewięć razy dama stawiała na zera. Racksole wygrywał, dama przegrywała. Inni goście zauważywszy, że gra przybiera znaczenie osobistego pojedynku, obstąpili tych dwoje i przypatrywali im się ciekawie. Książę Aribert stał ciągle za czerwonym kapeluszem. Gra szła dalej. Kiedy niekiedy Rachsole przegrywał jakąś drobnostkę, ale dziewięćdziesiąt dziewięć na sto był górą. Jeden z obecnych zauważył, że jego instynkt nieomylny. Z uderzeniem północy dama miała tylko tysiąc funtów przed sobą; potem przez jakie pół godziny szczęście ku niej zwracać się zdawało, ale o pierwszej wszystskie jej zasoby zostały wyczerpane. Ze stu sześćdziesięciu tysięcy franków wygranych przez nią poprzednio, dziewięćdziesiąt tysięcy przeszło na własność Racksola, a bank zabrał resztę. Ciężką była porażka Junony. Zerwała się z miejsca, tupnęła nogą i wybiegła z sali. W pewnej odległości podążyli za nią miljoner i książę.

— Ruch jej każdy śledzić musimy — dowodził Racksole.

Na peronie, oświeconym łukiem światła elektrycznego, gdzie dochodził szmer rozbijającej się u stóp Kursalu fali, Junona w czerwonym kapeluszu zawołała dorożki i odjechała szybko. Racksole z księciem, goniąc za nią, wsiedli do otwartego powozu. Ujechawszy znaczny kawał drogi, Aribert kazał wssrzymać konie, prosił, by Racksole wysiadł, zapłacił za kurs woźnicy i odrawił go bezzwłocznie.

— Wiem już z pewnością, gdzie jedzie dama, tłómaczył towarzyszowi. — Lepiej, gdy pójdziemy za nią piechotą.

— Przypuszczasz, książę, że dąży do miejsca, w którem rozgrywały się wyzadki ubiegłej nocy?

— Zgadłeś pan; od jednego strzału ubijemy dwa zające...

Trafne okazały się domysły księcia Ariberta; dorożka Junony zatrzymała się przed domem, gdzie poprzedniego wieczoru Nella odbywała konferencję z panną Spencer, a dama w czerwonym kapeluszu znikła za drzwiami w chwili, gdy dwaj mężczyźni stanęli na rogu ulicy. Racksole i książę zawrócili w stronę podwórza, przeszli przez mur i z wielką ostrożnością, stąpając cicho po na pół drzewami zarośniętem, na pół wybrukowanem podwórzu, zatrzymali się pod oknem, przysłoniętem roletą i uchylonem trochę. (C. d. n.)

Czytelnie. 1) Klimatyczna czytelnia czasopism, w biurze Komisji klimatycznej, otwarta cały dzień, bezpłatna.

2) Wypożyczalnia w księgarni Zwolińskiego.

3) Czytelnia czasopism i wypożyczalnia książek Stowarzyszenia „Czytelnia Zakopiańska“, willa Polanka obok poczty. Dla członków bezpłatna, dla obcych abonentów za opłatą 3 Kor. miesięcznie. Cały dzień otwarta.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8^1/_2$ do $11^1/_2$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8 ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej popołudniu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1^1/_2$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego:	o 9 min. 2 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego:	o 7 min. 5 rano. o 4 min. 5 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa:	o 9 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa:	o 6 min. 6 rano o 4 min. 40 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów:	o 9 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa:	o 2 min. 31 po poł.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	23/9	24/9	25/9	26/9	27/9	28/9	29/9
Termom. such. „ wilg.	12·4	12·2	15·6	14·2	14·0	14·1	14·1
Ozon	10	10·2	10	9·2	10	10	12·8
Term. maxim.	9·5	10·1	10·0	10·6	10·6	12·8	12
„ minim.	36·1	38·1	40·1	39·8	38·4	40·2	41
Term. na bar. .	14·8	10	15·9	15·3	17·6	15	16
Barometr . . .	705	705·7	705·7	704	702	700	699
Kierun. i szyb. wiatru . . .	WW2	5	—	—	—	SSE	EEN
Stop. zachmurz.	0	—	—	—	—	5 kłęb.	5 kłęb
Wysok. opadu	0	—	—	—	—	0	0
Uwagi	pogod.	0	0	0	0	0	0

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.